

Kilka pomysłów na żywą sztukę

Szczerze mówiąc, trochę przesadziłam z rzekomymi kilkoma pomysłami na żywą sztukę, jakie chciałabym przedstawić. Od pewnego czasu kielkuje mi właściwie jeden koncept i to skromny, bo dający się zastosować jedynie czasami. To zatem dość słaby pomysł dla wszystkich, którzy szukają powszechnych zasad, ważnych zawsze i wszędzie. Jeśli jednak zdecydowałam się z państwem podzielić wątłą ideą pod zdechłym psem, to z przekonaniem że w jej niezdarności jest jednak pewien potencjał, gdy trafi na odpowiednie podłoże.

Mój pomysł na żywą sztukę nie jest zresztą nawet właściwie moim pomysłem, bo prześladował różnych artystów szczególnie intensywnie co najmniej od dobrych stu lat. Wyraża się w idei wyjścia poza harmonogram i trzymania się w zamian przez pewien czas grafiku „niech się dzieje”. Magiczną formułę „niech się dzieje” wypowiadali różni artyści, czasem w gniewie i zniecierpliwieniu, a czasem – ze zwykłej ciekawości. Bo choć pomysł „niech się dzieje” wydaje się cherlawy, przychodził do głowy geniuszom. Za patrona „niech się dzieje” uznać można samego Leonarda da Vinci, któremu zdarzało się zdawać na przypadek rzucając gąbką nasączoną tuszem na płaskie podobrazie. W rezultacie zdania się na los potrafił zachwycać się amorficznymi plamami, które ożywały w oku jako żywe, inspirujące formy¹.

Choć zatem pomysł jaki chcę przedstawić jest taki sobie, wyobraźmy sobie Leonarda mruczącego pod nosem filuternie „che sara, sara” i przypomnijmy McCartneya śpiewającego „let it be”. Wypowiadałam więc z pewną nieśmiałością „niech się dzieje” i sprawdzam, co by to znaczyło gdybym powiedziała w zamian „let it be” lub „laisse-toi faire”. Rzecz bowiem w tym, by „niech się dzieje” powiedzieć z ufnością i afirmacją wobec świata mówiącego różnymi językami. By w zgodzie z augustiańskim kochaj i rób co chcesz dopowiedzieć: kochaj i miej ufność w to, co czynią inni, którym dzięki „niech się dzieje” oddaliśmy głos. Nawet gdy ci inni wydają z siebie jedynie chrząkania lub wstrząsają nimi wybuchy kaszlu, jak u Cage’a w ‘4.33’.

A zatem zastanówmy się jaki potencjał niesie zdanie się na to co do nas przychodzi, zaakceptowanie biegu zdarzeń w ich sensie i bezsensie, w tym co niesie życie z jego przygodnością. Co tak naprawdę oznaczało twierdzenie Natalii LL - tegorocznej laureatki

¹ Joseph Manca, *The Gothic Leonardo: Towards a Reassessment of the Renaissance*, “Artibus et Historiae”, 1996, Vol. 17, No. 34, s. 137.

doktoratu honoris causa wrocławskiej Akademii Sztuki Pięknych - iż „sztuka realizuje się w każdym momencie rzeczywistości”.

McCartneyowskie liryczne *let it be* jest przyznaniem, że rzeczywistość wymyka mu się z rąk, że nic nie dzieje się tak, jakby oczekiwał. W niczym nie ma oparcia, choć oczywiście w najtrudniejszych chwilach zawsze można zagrać i zaśpiewać, bo zawsze pozostaje sztuka. Jest zatem sfera, w której przyznanie się do bezradności nie będzie ujmą, przestrzeń gdzie bezsilność nie jest wstydem, bo można znów bezkarnie być dzieckiem i zakwilić. Liryczny głos przepełnia nadzieja pokrzepienia. Pojawiająca się we śnie matka jest gwarancją, że po nocy zabłyśnie światło, że smutek kiedyś się skończy. Wiemy z tłumaczeń samego McCartneya, że występująca w słowach piosenki Mother Mary to po prostu jego mama, która zmarła gdy miał 14 lat. Dla fanów zespołu the Beatles Mother Mary – jakkolwiek interpretowali sobie tę postać, a robili to także pobożnie – była po prostu rękojmią sensu i poręczeniem iż ufność nie skończy się katastrofą². Możemy pozwolić światu na bieg rzeczy, który nie składa się w żaden rozsądny projekt, żaden dający się przeniknąć plan, dopóki mamy kogoś w kim pokładamy kredyt zaufania.

Jacques Derrida interesował się ufnością i Matką Marią, gdy rozprawiał o gościnności, miłości i relacji z innymi. Derrida i Hélène Cixous nawet jeszcze wcześniej niż powstały w 1970 roku beatlesowski hymn o ufności do Matki Marii, bo już w latach 60., wskazywali że pozwolenie na bezwarunkowe dzianie się, bezwarunkową gościnność i ufność jest w zasadzie niemożliwe, choć jest jedyną ufnością godną tego miana. Cixous stwierdziła nawet że ‘niech będzie’ jest formą przyzwolenia wyrażającą siłę, bo jest tak potężną władzą, że dopuszcza własne poddanie. Zgoda na bezwarunkowe wtargnięcie czegoś niespodziewanego filozof wyraził poprzez ‘*puisse cela arriver*’ (tłumaczone po angielsku na *may that happen*)³. Francuskie „*puisse*” które tłumaczymy na polskie „niech” – wywodzi się od czasownika *pouvoir* czyli móc i odwołuje się też do *puissance* – siły i mocy, władzy tak silnej dzięki ufności, że nie boi się oddania władzy. Tylko tak, pozwalając na dzianie się, wypowiadając zaklęcie poprzez ‘*puisse cela arriver*’ dane nam będzie dotrzeć do siebie, bo jak dopowiadała Cixous dotrzeć do siebie można tylko tam, gdzie się siebie nie spodziewaliśmy. Nasza intencja zanieczyściłaby świat egotycznym zamiarem, wymusiłaby poruszanie się w zaklętym kręgu

² [https://pl.aleteia.org/2018/01/14/let-it-be-czy-paul-mccartney-napisal-hymn-do-matki-marii/\(data](https://pl.aleteia.org/2018/01/14/let-it-be-czy-paul-mccartney-napisal-hymn-do-matki-marii/(data) dostępu: 30.09. 2022).

³ Jacques Derrida, Hélène Cixous, Aliette Armel, *From the Word to Life: A Dialogue between Jacques Derrida and Hélène Cixous*, transl. Ashley Thompson, “New Literary History”, Winter, 2006, Vol. 37, No. 1, pp. 10-11.

tego samego. Czemu Derridę i Cixous interesowała zgoda na dzianie się choć oboje nie wierzyli ani w Matkę Marię, ani w jej syna? Pytanie można by poszerzyć: czemu wspaniały klasyczny pianista David Tudor zdecydował się na prezentację Cage'owego 4'33 – cichego siedzenia przed klawiaturą fortepianu – i zamiast zaimponować i zachwycić wirtuzowskimi pasażami pozwolił wtargnąć nieproszonym kaszłom, szeptom, szuraniom i stukotom? W czym pokładał ufność? W przypadku? W nadziei skonfrontowania się z nie-sobą? Czy interesowała go sama sytuacja sztuki, rytuał spotkania i święta, czy po prostu wierzył w ludzi, którzy przybyli na koncert – ich energię, ważniejszą od osobistego pianistycznego mistrzostwa? Nie chciał być skazany na echolalię; powtarzanie wedle wzoru zdawało mu się umartwianiem.

Problemy żywej sztuki znacznie wcześniej rozwijała literatura francuska, pragnąca nadać wektor sensu podmiotowi pozbawionemu ufności w Mother Mary i jakikolwiek czuły baldachim rozpięty nad ludzką bezsilnością i bezradnością. U Stéphane'a Mallarméego rzut kostką, wyrażający świat przypadku, był w istocie unaocznieniem problemu: z jednej strony ukazywał bowiem brak racjonalnych zasad, które rządziłyby dziełem sztuki (skoro nie ma Wielkiego Gwaranta wartości, Jedynej Matki Marii, której można zaufać), z drugiej – wyrzut określonej liczby, choć wiąże się z przypadkiem, połączyć można z wyższym i zamierzonym celem, jakimś szyfrem i zasadą. Liczby tworzą jednak konstelacje. A zatem przypadek, otwierając się na nieskończoność i chaos uznać można, owszem, za przywołanie dramatu człowieka skazanego na destrukcyjną składnię, niebezpieczeństwo i izolację. Lecz choć w chaosie nic nie składa się do dającej otuchę całości, nic nie jest zamieszkiwalne i oswojalne, to niektórzy artyści w takiej asamblażowej niewspółmierności zauważyli swoiste rozproszenie boskości. Bo, gdy – mówiąc słowami Natalii LL – „sztuka realizuje się w każdym momencie rzeczywistości, każdy fakt, każda sekunda jest dla człowieka jedyna i nigdy niepowtarzalna” – to każda rzecz, każdy podmiot, każde słowo jest jak skarb – lśnią tak, jakby ukazywały się nam po raz pierwszy, w swej pierwotnej niezwykłości. „Wyższy” wymiar przygodności, nadający jej uniwersalną rangę, to zatem partycypacja w nieskończoności, docenienie każdej chwili w której budowane są relacje z innymi.

Jak jednak na moment przygwoździć nieskończoność w chwili, by przynajmniej dać odczuć zapadający w pamięć moment, gdy nasza skończoność otwiera się na coś, co nas przekracza? Mallarmé widział taką możliwość w przyznaniu wagi nieokreśloności, niepewności i wahaniu oraz nieprzewidywalności. Dzięki temu oraz nie doprowadzaniu dzieła do końca, podtrzymywał różne opcje rozumienia naraz (w tym także przeciwne) oraz równie niestabilne

możliwości jakie się rysowały na skutek niespójnych egzegez⁴. Natalia LL bulwersowała z kolei banalnością, która wydawała się pozbawiona sensu: pokazywała na zdjęciach pustą szosę po której raz po raz przemykają przypadkowe auta albo zegar, którego wskazówka miarowo odmierzała czas. Tak trywialne fotograficzne kadry wykonywała ogołacając się ze swojego mistrzostwa, subtelnych kompozycji o wyrafinowanej grze światła, ukazujących m.in. psychologiczną głębię portretowanych postaci. Odrzuciła mistrzostwo jak David Tudor i nie miała nawet zamiaru zwierzać się (jak Paul McCartney) z faktu, że rzeczywistość ją przerosła. Nie epatowała liryzmem, ekspresją, podawała czyste fakty: tak wygląda, jak ludzie uprawiają miłość, tak – jak śpią, a tak – jak jedzą myśląc o seksie. Jej ‘niech się dzieje’ oznaczało odwagę takiej zwykłości. To niezauważalna banalność okazała się wrotami do świata codziennie zakrywanego naszą wolą, planami, zamiarami, nigdy nie kończącymi się pragnieniami, by odkładać bycie na przyszłość. Natalia LL nie chciała swojego mistrzostwa, nie interesowało jej utwierdzanie się we własnych poglądach i talentach. Pragnęła żyć na tym świecie jaki jest, ale nie wyłania się z powodu naszych trujących fantazmatów. Nie bała się posądzenia o brak artyzmu, oskarżeń o prozaiczność i płaskość. Gdy fotografowała miłosne zbliżenia, nie ulękła się nawet oskarżeń o wulgarność i niewybredność.

Natalia LL nie tylko zajmowała się tak prozaicznymi czynnościami jak siedzenie, leżenie, spanie, ale multiplikowała przedstawienia tych czynności jako sążniste i niezmierzone ciągi pospolitych i tuzinkowych aktywności, na które skazany jest człowiek. Zamiast cykli (od greckiego słowa κύκλος, kiklos -koło) wołała bezgranicznie otwarte serie. Jej doświadczeniem formującym była wojna i ogołocenie. Deifikacja trywialnego przypadku przyszła wraz z racjonalnie niewytłumaczalnym przeżyciem, gdy wręcz cudem uniknęła śmierci od radzieckiej bomby. Wiarę w cudowność niespodzianki objawiła jednak po solidnym wyuczeniu się rzemiosła. Podczas studiów we wrocławskiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, wykazywała się znakomitą rzemiosłem jako fotografka, graficzka oraz projektantka szkła. W dziedzinach tych szybko osiągnęła mistrzostwo, zdobywała nagrody i uznanie, ale niespodziewanie dokonała zwrotu w którym nie liczy się już głębia tylko lekkość bytu, wtargnięcie niewysublimowanej realności przywracającej smak życiu.

Jej najśłynniejsze dzieło „Sztuka konsumpcyjna”, pokazująca atrakcyjną blondynkę bawiącą się bananem – dotykającym go koniuszkiem języka i wargami – doczekało się licznych interpretacji. Podnoszono skupienie na kobiecej przyjemności i jej emancypacyjny charakter.

⁴ por. Q. Meillassoux, *Liczba i syrena. Rozszyfrowanie „Rzutu Kośćmi” Stéphane’a Mallarmégo*, przeł. P. Herbich, Warszawa 2019, s. 142 passim.

Emancypacja to wielka narracja nowoczesności, wpisanie w nią jej dzieła oznacza więc po prostu wpisanie w schemat i wzorzec. A tego właśnie artystka chciała uniknąć. Plan, kontrola i perfekcja podążania za regułami oddalały ją od tego, co rozumiała jako żywą sztukę. Zarówno zobaczyć jak i usłyszeć świat, to „uciszyć wewnętrzny głos i żyć przez chwilę poza dyskursem”⁵. Bowiem intencja, zamykająca się w tradycyjnej harmonii wizualnej i tonalnej, wyznaczającej linię patrzenia i słuchania, może jedynie wytworzyć katastrofalnie sztywne nastawienie. A w rezultacie taka znieczulająca konwencja uniemożliwia otwarcie się widza i słuchacza na bogactwo jego percepcyjnych możliwości. Dla Cage’a ważne było uciszenie umysłu, bo cisza oznaczała percepcję tego, co niezamierzone, całość wszystkich dźwięków i ruchów, które się dzieją, gdy nasza intencja jest wytłumiona. Możemy założyć, iż jedząca banana dziewczyna zajęta jest machinalnym lizaniem i nie wie już tego, czego od tego chce. Ta forma podmiotowości powstaje, innymi słowy, kiedy zwraca się uwagę na doświadczenie zmysłowe jako takie: zapomina się, kim się jest i co robi. Coś się dzieje i się w tym zanurzamy, dzięki kontaktowi wzrokowemu i wczuciu się w siebie i w drugą osobę.

Twórczość Natalii LL wpisana w narrację buntowniczą stała się nieodwołalnie symbolem wolnej myśli, nieskrępowanej fantazji i radości życia. Jako radosna buntowniczką trafiła do kultury popularnej. W nowej powieści Zygmunta Miłoszewskiego *Kwestia ceny* protesty przeciw usunięciu dzieł Natalii LL z wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie stały się inspiracją do wykreowania bojowniczej postaci – Zofii Lorentz. Jest ona w książce dyrektorką tegoż muzeum, zwolnioną decyzją ministerstwa za pokazywanie artystki jedzącej banana w „wyuzdany, prowokacyjnie feministyczny” sposób. Ja jednak ciągle myślę, że jedzenie banana nie jest jedynie buntem, ale również empatią dostrzeżenia tego, co miało być niewidoczne. Jest pomysłem na żywą sztukę, zgodą na „niech się dzieje” które nie odnosi się do autorytetu, ale do ufności do świata w jego nieskończonym chaosie i niemożności skontrolowania go idealnym planowaniem. Nie wiem o co chodziło Natalii, ale wiem że bez jej udziału oraz intencji przed Muzeum Narodowym w Warszawie 29 kwietnia 2019 zebrał się tłum ludzi jedzących banany. Kolekcja muzeum została właśnie idealnie wyczyszczona z dzieł które nie pasowały do urzędniczych planów. Wyrzucono dziewczynę z bananem, bo gdzieś na górze uznano że należy uporządkować niesforą wyobraźnię obywateli. Spożywanie bananów przed muzeum okazało się rytuałem-manifestem dziania się - dziania się życia takie jako ono jest, w swej trywialnej przygodności. Dzięki żywej sztuce stało się coś już poza kontrolą artystki, co zbudowało

⁵ T. Hodgkinson, *Music and the Myth of Wholeness: Toward a New Aesthetic Paradigm*, The MIT Press, 2016, s. 170.

radosną wspólnotę ludzi, którzy ufają sobie choć się nawzajem nie znają. Chcą mieć prawo do tego, co nie zostało zaplanowane za urzędniczym biurkiem. Gdy w kwietniu 2019 roku artystka całkowicie utraciła kontrolę nad swoją sztuką, bo jej oddolnego wykonania-powtórzenia podjęły się rzesze nieznanych sobie osób, jej sztuka okazała się tryskać niezmierzoną żywotnością.

Leonardo chciał zobaczyć coś, co nie było podatne jego władzy. Cage chciał usłyszeć coś co nie kształtowało się wedle jego woli. Ludzie oddający hołd sztuce Natalii LL nie spodziewali się że ich niema atencja pozwoli zobaczyć się im nawzajem i zobaczyć swoją siłę. To z powodu wiary w dobro świata i ludzi McCartney śmiewał let it be. Odważmy się więc i my powiedzieć „niech się dzieje” by zobaczyć i usłyszeć innych.